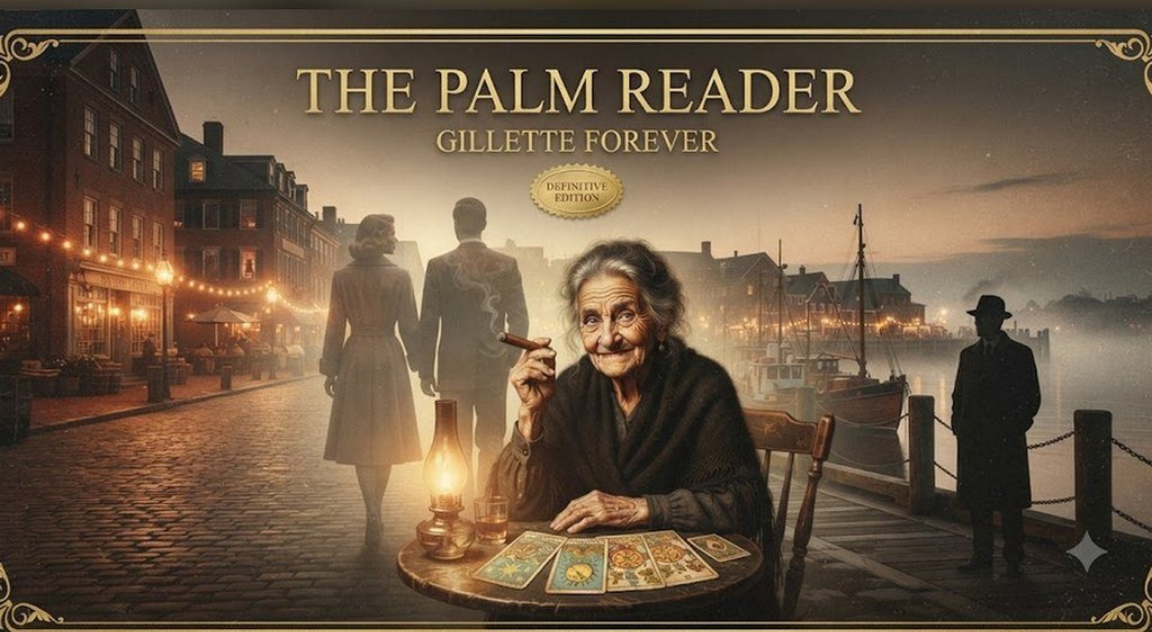


THE PALM READER

GILLETTE FOREVER

DEFINITIVE
EDITION



CHIROMANTKA Z WALL STREET – CIĄG DALSZY II

GILLETTE FROM WALL STREET · 11

...

Postanowiłem wrócić do Miami.

Sześć miesięcy.

Dość czasu, żeby odpocząć, podszlifować hiszpański i przyjrzeć się z bliska Kubankom.

Zawsze były moją ulubioną zwierzyną.

Wszedłem do supermarketu, a los dotarł tam przed wózkiem.

Przedemną pojawiła się kobieta.

Kubanka.

Rozpoznałem ją od razu.

Ona rozpoznała mnie.

Wpatrywała się we mnie przez kilka sekund.

Potem powiedziała:

„Co ty tu, do diabła, robisz?”

„Zakupy”.

„Nie. Pytam, co robisz na Ziemi. Nie powinienes już być w piekle?”

Pochwaliłem jej angielski.

Bezбłędny.

Najlepsze kobiety zawsze potrafią być dwiema osobami naraz:

słodkimi, kiedy chcą informacji,
bezlitosnymi, kiedy już je mają.

Zapytała, jak się mam.

Jak moje zdrowie.

Jakim cudem w ogóle jeszcze żyję.

Gdzie jest moja żona.

A przede wszystkim:

„Jak ci się udało zostać młodym i pokonać samego diabła?”

Powiedziałem, że muszę zdążyć na autobus.

To akurat była prawda.

Nie powiedziałem dokąd.

Pożegnałem się i zniknąłem.

W domu zasnąłem natychmiast.

We śnie zobaczyłem kogoś, kto wchodził po schodach mojego domu we Włoszech.

Znałem go.

A może nie.

Potem mnie olśniło.

To był on.

Indus z Cincinnati.

Ten z podpisanym banknotem jednodolarowym.

Dotarł na ostatni stopień.

Uściskał mnie.

Uśmiechnął się z tą brytyjską flegmą, którą niektórzy Indusi noszą lepiej, niż Brytyjczycy kiedykolwiek potrafili. Potem spojrzał na mnie poważnie.

„Frega, proszę – gdzie jest łazienka?”

Obudziłem się gwałtownie.
Poszedłem szukać drzwi do łazienki.
Potem zrozumiałem, że wciąż jestem we śnie.

Odwróciłem się.
Czerwony fotel był zajęty.
Znowu on.
Duch z Bostonu.
Śmiał się.

„Wiedziałem, że się nie boisz. Jesteś facetem z jajami”.

Potem wskazał kogoś obok siebie.
„Zobacz, kogo przyprowadziłem”.

Wysoka kobieta.
Elegancka.
Amerykanka.
Okolo czterdziestki.
Postawa menedżerki.
Spojrzenie kogoś, kto podpisuje dokumenty kończące życie innych ludzi.

Wyciągnęła rękę.
„Copyright Office. Washington D.C.”

Skinąłem głową.
„Niezły awans. Jak tu trafiłaś?”

„Dostałam od ciebie maila”.

„I co dalej?”

„Przeczytałam go”.

„I co dalej?”

„Serce nie wytrzymało”.

Duch wybuchnął śmiechem.

Ja nie.

„Przykro mi”.

„Niepotrzebnie”.

„Nie, naprawdę”.

„Nie, naprawdę – mnie też”.

Usiadła.

Przyjrzała się pokojowi.

Przyjrzała się mnie.

Potem powiedziała:

„Jesteś mężczyzną, na którego czekałam całe życie”.

„Dość skomplikowany sposób na poznanie kogoś”.

„Najlepszy, jaki znalazłam”.

„Nie. Uwierz mi. Nie był najlepszy”.

Na chwilę zamilkła.

Wtedy zadałem jej jedyne pytanie, które miało znaczenie.

„Zanim trafiłaś do Copyright Office – gdzie pracowałaś?”

„W amerykańskim koncernie. Detergenty”.

„I jak było?”

„Żeby zrobić wyniki, trzeba umrzeć”.

„To znaczy?”

„Dosłownie. Zarzynają cię, aż pęknieś”.

Milczałem.

Potem się uśmiechnąłem.

„Przykro mi, skarbie”.

„Z jakiego powodu?”

„Wybrałaś zły wymiar”.

„Słucham?”

„W życiu to zawsze – tylko i wyłącznie – kwestia stylu”.

Wskazałem okno.

Ziemia wciąż tam była.

Zagubiona.

Główna.

Pełna problemów.

„Ja słucham wszystkich”.

„Nawet duchów?”

„Zwłaszcza ich”.

„To dlaczego nie pójdziesz z nami?”

„Bo mam tu na dole jeszcze coś do skończenia”.

Duch z Bostonu skinął głową.

Menedżerka spuściła wzrok.

Wyglądała na rozczarowaną.

Wstałem.

Podszedłem do drzwi.

Potem się odwróciłem.

„A przy okazji –”

„Co?”

„Tak się składa, że ja też jestem w detergentach”.

„No i?”

„Ale nie czekam, aż ktoś umrze, żeby zrobić swoje wyniki”.

Duch zawył ze śmiechu.

Ona się uśmiechnęła – pierwszy raz.

Kiedy znów otworzyłem oczy, byłem sam.

W pokoju nie było nikogo.

Żadnych duchów.

Żadnych menedżerek.

Żadnych Indusów szukających łazienki.

Tylko czerwony fotel.

Wciąż mnie obserwował.

Jakby już wiedział, kto przyjdzie następnej nocy.

Ferdinando